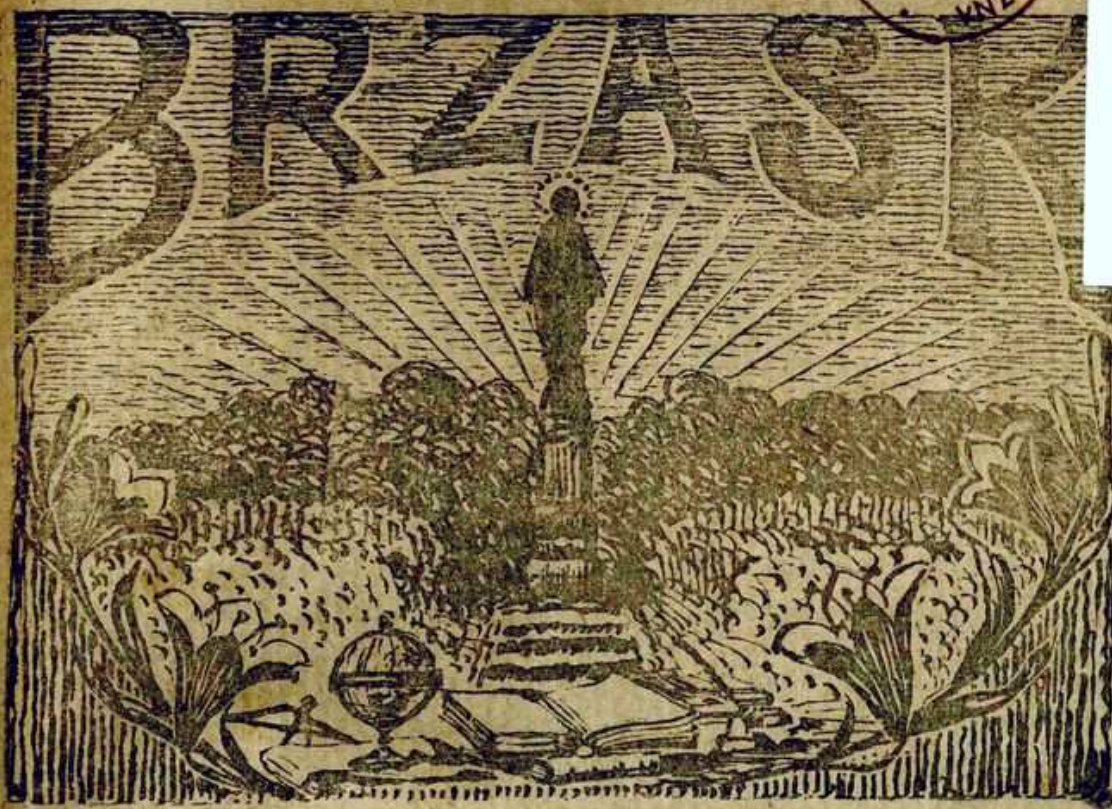




Dwumiesięcznik uczennic Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce.

Od Redakcji.

Zgrupowane w „Kole Literackiem”, wznawiamy wydawanie „Brzasku”. Pragniemy, aby „Brzask” promieniował nie tylko na naszą szkołę, ale by stał swe jasne uśmiechnięte promienie do dawnych naszych koleżanek, obecnie już pracujących po różnych zakątkach Polski; pragniemy również, aby nasi rodzice i opiekunowie, czytając kartki „Brzasku” uśmiechnęli się czasem do nas, choć zdaleka. W „Brzasku” będzie wszystko, co dotyczy naszego życia szkolnego i naszej szkoły. Niech on oświecła i nasze szkolne zmartwienia i smutki, które nacierają i na nas, gdy serduszko zatęskni za pieczęcią matki lub gdy wyczuje, że w notesie p. nauczycielki został wystawiony dokument w postaci dwójki lub jedynki, choćby z plusem.

NASZA SZKOŁA.

I. Geograficzne położenie.

Seminarjum nasze znajduje się w województwie kieleckim, powiecie poczyńskim, gminie Goździków, w Marjówce.

Marjówka leży na stokach (ciągnących się aż pod Przysuchę) gór Świętokrzyskich, między „Piekłem” niekłańskim a „Niebieskimi źródłami” pod Tomaszowem. Miejsca te są słynne z wycieczek, co naturalnie rzuca wielkie światło i na naszą szkołę. Wokół Marjówki falują się wspaniałe pola, ciągną się łąki różnobarwne z rzeczkami i strumieniami, a na południe od szkoły widnieje świetnie zarysowana linia lasów. Stanowią one ulubione miejsce wycieczek przyrodniczych i spacerów. Zimą brnie się po kolana w śniegu, obserwując ptaki, za którymi niestety zawsze trzeba ku niebu spoglądać, przyczem zdarzają się wypadki nadzwyczajne... skutki oplakane... Latem biegnie się tam, gdzie kwiatów pełno, poziomek, jeżyn, malin, a wszystko owiane duchem lasu i pieśniami jego mieszkańców. O, wtedy marzyć tak łatwo Marjówka utrzymuje najbliższe sąsiedztwo ze „starą Marjówką”, tj. ze szkołą zawodową. Dalej jest Smogorzów, który piastuje na swym łonie stary, bardzo stary kościół.

Na północ leżą Krzesławice sławne z błotnistych dróg, to też niegdyś powstało między podróżującymi tamtędy pobożne życzenie „A bodaj cie Krzesławickie drogi nie minęły”. Przez Goździków — Zawadę idzie szosa z Opoczna do Przysuchy, brudnego żydowskiego miasteczka. Przysucha przez uczennice została bardzo szczerze obdarowana — bo mianem stolicy. Chętnie one tam zaglądają, gdy zateśnią za widokiem sklepów, towarów i wreszcie Żydów, którzy są rzadkimi gośćmi w Marjówce, bo najwyższe dachy naszych gmachów objają błachą i malują na czerwono. Przysucha jeszcze z tego względu jest bardzo dla nas ważna, że jest miejscem zamieszkania naszego jedyne go profesora od śpiewu. Zawada to stacja samochodów, resorek, rowerów, pieszno podróżujących i zbiegów. Najbliższą stacją kolejową jest Opoczno, słynne z kopalni wapnia i piaskowca; wogóle opoczyńskie to opoka, nic też dziwnego, że nauczycielki wychowanki Marjówki — są jak opoki... do serc ich trudno się dostać, ale jak już je kto zdobędzie, to pewny...

Mimo tego wielkiego zasobu opoki, drogi nasze są błotniste, trudne do przejścia. Z Marjówki do Smogorzowa ciągnie się coś w rodzaju chodnika, który podczas śniegu utrzymuje nas na powierzchni ziemi, inaczej — straszno pomyśleć... Uczennice nazwały go „spacerem”, gdyż chodzi się po nim nie tylko do kościoła, ale i na spacer do uroczych stawów, w których szanowny III-ci kurs widzi podobieństwo do stawów mickiewiczowskich z Pana Tadeusza. Ach, ciekawe muszą być ich wypracowania!... W zimie na stawach spotkać można sztubaka popisującego się kreśleniem kół i óse-

mek na lodzie, a zerkającego stale, czy te ideały marjowskie nie patrzą. Gdy patrzą... to cały świat wiruje w nim, nad nim, pod nim i wkoło niego. Niestety, wtedy się najprędzej noga powinie i... katastrofa! To najciekawsze! Gdy zaś uczennice zrobią zwrot do domu, to sztubaczyna tyżwy przez plecy i marsz do Przysuchy, aż cztery kilometry — to poświęcenie! W lecie znów przychodzą na majowe nabożeństwo, a potem przed kościołem następuje przegląd powszechny. „Jedna z nich będzie moja” — dochodzą nas słowa — brzmi uśmiech w gromadce, odbijający się echem w duszach wiele rokujących uczennic.

Marjówka leży na ustroniu, ale wcale nie jest tu tak pusto, jakby się zdawało. W dzień roboczy przepędzają naszym gościem stada krów, owiec, koni, gęsi... Dzieci idą do szkoły powszechnej, ludzie do kościoła, furmanki jadą w różne strony. W niedzielę nasz gościniec wygląda najpiękniej: całe gromady ślicznie ubranych kobiet i dziewcząt śpieszą do kościoła.

Chustki mają najczęściej białe, jasne kaftanki, zgrabne i wcięte, spodnice suto fałdowane i fartuchy różnego rodzaju. Za nimi idą wyrostki młodzież dorosła, a wreszcie starsi, poważniejsi gospodarze. Niektórym włosy się białą jak len, obcięte na kacapkę. Czasami pośród tych ludzi przemknie się jakaś tajemnicza postać na rowerze, czy to dążąc do kościoła czy też ot tak, aby... aby Marjówkę zobaczyć i miłe główki w oknach.

A jeśli święto nadejdzie i pogoda sprzyja, na świecie pięknie, uroczo, a zarazem jakoś tęskno... o, wtedy dzieją się rzeczy nader dziwne, śmieszne, może nawet mądre. Na szosie od Opoczna i Radomia zjawiają się rowery, a na nich... sztubacy, nieszczęśliwi niewolnicy serc, obciążeni paczkami, listami, zleceniami... etc. Krążą, krążą niby czajki na wiosnę. A że nasze domy są wysokie, więc punkciki tego rodzaju (aha!) rzucają się w oczy i niektóre serduszka tknięte przecuciem, wybiegają na powitanie i uroczystie wprowadzają gości na teren Marjówki. Że nie brak nigdzie ciekawych — to fakt — kto przyjechał? Czy to brat? Nie, to kuzynek... odpowiada, spuszczać zresztą niechcący oczy, lub rumieniąc się jak różyczka, albo jak poziomka. Aha... to kuzyn, kuzyn w Chrystusie, — powtarza echo....

Gdy ktoś nowoprzybyły jedzie wieczorem szosą, a zobaczy Marjówkę jasno oświetloną, ma wrażenie, że to jakiś dom z ulicy Marszałkowskiej przywędrował aż tutaj i zaprasza do siebie ciche, pracowite uczennice. Bo i słusznie! Nasza Marjówka — to miasteczko w miniatrze. Jest elektryczność, kanalizacja, gmachy murowane, wodotrysk przed domem, a w domach naród kulturalny zamieszkuje. Posiada sklep, kuchnię, pralnię, piekarnię, froterowane podłogi, linoleum, schody, eleganckie ławeczki i t.d. Lecz to jeszcze nie wszystko. — Żyjemy jak ludzie w wielkich miastach — Krakowa, Wilna, a przynajmniej Warszawy. Mamy teatr (sezonowy, ale mniejsza o to), kino, na którego ekranie widzieć można cudną „Dziłą dziewczynę”, następnie są przezrocza, przenoszące nas a właściwie nasze oczy w poszczególne pro-

wincie i miasta Polski, potem w obce kraje za góry i morza, gdzie wieczne lato panuje, pomarańcze i cytryny rosną, szumią wspaniale puszcze, a rzeki jak wstęgi jasne zdobią ziemię. Albo znów bywają takie miłutkie wieczory, kiedy to półmrok panuje na sali, a my skupione w gromadkę słuchamy cudnych bajek, opowiadanych przez naszego kochanego ks. Kanonika. Cisza. Niejedno serduszko bije mocno — naturalnie ze strachu, bo straszna postać bohatera bajki stoi przed oczyma jak mara.

Słuchają wszystkie z ogromną ciekawością i zadowoleniem. Wielki śmiech wybucha co chwila, napelnia całą salę, ożywia ją i puszczony w niepamięć kona gdzieś w kątach sali, a uczennice z namiętną uwagą i niecierpliwością czekają końca strasznej historii. Bywa i tak, że ks. Kanonik opowiada nam bajki, ilustrowane przezrociami — o wtedy śmiać się tylko trzeba i śmiać się bez końca.

To nasze miasteczko miniaturowe, posiada również i ogród, który podwójnie daje nam korzyści, bo nietylko swoboda spaceru i zapas świeżego powietrza, ale i owoce mięsiste, które mówiąc nawiąsem wieczorem się tylko zrywa. Ogród ten jest młody jeszcze, tak samo młody jak i my, powierzchnie jego pokrywa bujne zboże, z pośród którego wychylają się młode drzewa, osypane kwiatem wiosny — szczęścia. Okrążają go alejki z ławeczkami, wykonanymi przez artystę prostoty — p. Antoniego. Piastuje on Marjówkę w sercu swoim jak dziecko, w dzień robi dla niej wszelkiego rodzaju „zabawki”, a w nocy owinięty w kożuch, z bosakiem w ręku, z listkiem wierzbowym na wargach, pilnuje naszego bezpieczeństwa i jednocześnie na tym listku wygrywa kiejby jaki trubadur. W tym naszym ogrodzie jest jeszcze mały, botaniczny ogródek — pole pracy uczennic pod przewodnictwem p. Grzymkowskiej (nauczycielki przyrody i geografii). Dużo jest tam przeróżnych roślin, bo począwszy od lubczyku i róż, kończy się na pomidorach, koprze, selerach, porach i t. d. Przed frontem wejściem znajduje się olbrzymi klomb, pokryty bujną trawą, okolony wieńcem stokrotki. Obok wodotrysku wspaniale tulipany dumne podnoszą główki i wabią oko przechodnia.

WYCIECZKA SZKOLNA w TATRY.

(Kartka z dzienniczka).

Wtorek. 22 czerwca 1926 roku.

Wczoraj byliśmy od szóstej rano do 11 wieczór w górach, na Czerwonych Włchach i w dolinie Kościeliskiej. Dziś do południa odpoczywamy. Chodzimy po Zakopanem kupujemy pamiątki, a więc laski, pudełka, widoczek, albumiki z Tatr, i różne rzeźbione drobne, ale artystyczne przedmiotki, jak puderniczki (oczywiście nie dla siebie!), noże do rozcinania papieru i t. p..

Po obiedzie wszystkie w bluzach i z plecakami zielonymi ruszamy ostrym marszem w stronę Kuźnic. Aż nam serca mało z piersi nie wyskoczą. To przecież idziemy na najdalszą, bo trzydniową wycieczkę do Morskiego Okna! Ach jak dobrze! Jak dobrze! radość rozpieiera nam piersi. I skakać i śpiewać nam się chce, ale niestety, do równowagi doprowadza nas ciągle: „kryj! równaj!” Przed Kuźnicami skręcamy na lewo od szosy i krętą drogą idziemy pod górę. Co parę kroków stajemy, bo chociaż jesteśmy wypoczęte, jednak droga pod górę jest bardzo uciążliwa i wspinamy się po niej z trudnością. Idziemy „gesiego” coraz wyżej, wyżej. Po stronach małe hale porośnięte drobnymi choinkami zielonych świerków, a wzdłuż naszej drożki widzimy kręty pienisty niewielki potok górski. Wchodzimy coraz wyżej i dochodzimy do szerokiej górskiej drogi, idącej wzdłuż góry „Skupniów Uplaz”. Jeszcze pół kilometra i przed naszymi oczami roztwiera się prześliczny ogromny widok. Na dole widać białą wstążeczkę krętego potoku, a nad nim kłoby juchasów, małeńkie, jak pudeleczka od zapalek. Na boku wznosi się wielki „Nosal” porośły reglami, a po prawej stronie „Kopa Magóry” i „Kopa Królowa”. Przed nami, hen, hen... daleko, szarzej rozległa dolina Podgalańska, z boku bieleją na horyzoncie małe skalki Pienin: „Trzy Korony” i inne. W milczeniu wpatrujemy się w olbrzymią połąć kraju, rozłożoną przed nami. Po szczytach wicher płasza i owiewa nas rzeźwami podmuchami. Wciągamy w płuca powietrze z połowy kraju, z Polski, Czech i Węgier, i wpatrujemy się zachwyconymi oczami na cudny obraz. Pijemy pełnymi haustami piękno otoczenia, a wyrrywająca się dusza woła:

„Lekko mi, rzeźwo, lubo! wiem, co to być ptaszkiem!”

Nasyciwszy się cudnym widokiem, ruszamy dalej, Koło nas, na zboczach z pod glazów i w trawie wytryskują lilijowe paki urdziku, ogromnych cudnych hółków, zabłękitniejące prześliczny, ogromny, granatowy kielich goryczki, lub załłoci się na szarem zboczu złoty kwiat pierwiosnka, jak zakłęty promyk słońca. Dochodzimy do przełęczy między Kopą Królową a Kopą Magóry. Przechodzimy przez nią i... widzimy ogromną dolinę Gąsienicową, wysłaną ciemnymi strzyżonemi dywanami kosówki. Wdali rysują się ostre szczyty Granaty, Orla Perć, Zawrot, Średnia Turnia, Zamarla Turnia i inne. Siadłszy na glazach odpoczywamy chwilę. Tu odłącza się parę słabszych koleżanek i wraca do Zakopanego z panną Wilą, a my idziemy dalej. Zbiegamy do granitowego schroniska, w którym mamy nocować. Idziemy do naszej sypialni i... wszystkie się cieszą i skaczą. Jak wspaniale! Łóżka na siatkach i materacach, czyściutki pościel, jak miło będzie nam tu spać! Zostawiamy tu plecaki i idziemy co zjeść. Po kolacji, o ósmej panna Ziuńka, proponuje nam godzinną wycieczkę do Czarnego Stawu Gąsienicowego. Doskonale! Świetnie! Z okrzykami radości ustawiamy się w szeregi i ruszamy we wspaniałych humorach. Dowcipkujemy i żartujemy jedna przez drugą. Wesoło nam bardzo. Już ciemno. Czyste granatowe niebo zaczyna mrugać złotymi gwiazdami, tylko na zachodzie jaśnieje

jeszcze różowa smuga zachodu. Cudnie. Po obu stronach zwaly olbrzymie nagich skał, wśród których gdzieś się ścigały dywany kosówki. Olbrzymie malinaki po obu stronach leżały zdruzgotane jakąś potężną siłą. Skaczemy z kamienia na kamień i posuwamy się coraz dalej. Rozmowy trochę cichną, słychać tylko stuk łasek o glazy. Dochodzimy do wielkiego kotła zawalonego ogromnymi malinakami, urwistego i stromego. Panna Ziunia zatrzymuje nas i mówi pokazując ogromny złom na środku „kotła”, że tu jest ~~grobowiec~~ Karłowicza, wielkiego miłośnika gór, zdolnego kompozytora, twórcy melodji: „Kto raz się wzniosł na szczyty”. W drodze do Czarnego Stawu zmiotła go lawina śnieżna i tu znalazł śmierć. Robi to na nas ogromne wrażenie. Cisza w górach, jakiś majestat, on tu ~~stoi~~ pod granitem. Kochał góry i cząstka tych gór przyciska mu ~~serce~~ martwe piersi...

Idziemy dalej w milczeniu. Cisza... tylko:

„Czasem się z łoskotem obsunie skalny złom,

„I lecąc nad przepaście, uśpiłony budzi grom...”

Już ciemno zupełnie. Naokoło potężnie, majestatycznie olbrzymie pole gór, zaklętych tu jakąś nadludzką mocą, co śpią cicho, i marzą o swej potędze.

Tu człowiek czuje się taki mały, taki nikły, że wydaje mu się śmieszne wszystkie jego ambicje, cała duma... Z za Zawrota w wielkiej ciszy wypłynął skrawek srebrnej tarczy księżycy i oblał drżącym światłem góry, skały, przepaście, wyolbrzymiając i zmieniając ich kształty.

W duszy budzi się jakiś nieokreślony nastrój. Idziemy milcząc dalej i naraż z za zakrętu spostrzegamy czarną płytę stawu. Schodzimy w milczeniu i stajemy ~~oniemiając~~ na brzegu. Cały staw czarny jak smoła śpi cicho, tylko przez środek od nas przez całą długość gra, faluje, drży i wdycha srebrna roskolysana droga księżycowa. Niema słów...

„Jakże lubo, jakże błogo

Na szafirów tych głębinie!

.....
I anieli czuć nie mogą,
Co ja czuję w tej godzinie.”

Widzę złote błyski i punkciki na polach, które drżą, tańczą, skaczą, i błyszczą się jak chochliki, i coraz ich więcej, więcej...

„Na wód dole, na skał czołe

Jedna piękność, — jeden Bóg!”

Panna Ziunia cicho mówi, że teraz zmówimy pacierz. Klękamy wszystkie cicho na glazach. Jedna mówi drżącym głosem: Ojciec nasz, który jesteś w niebie... Za gardło duszą nas łzy... Z piersi wyrwa się jakaś ogromna jak świat tęsknota, jakieś wielkie, niezmierne pragnienie, jakieś smutki bez granic, a w duszy budzą się święte i czyste, jak to światło księżycy, postanowienia, co na całe życie piętno wyciskają. Wstajemy i w ci-

szy, w potęgzie gór drży błagalna mocna modlitwa naszych serc: „Dawna Polski Ty Królowo... Maryjo...”

Już leż powstrzymać nie można. Modlitwa tak gorąca, tak święta jak nigdy w życiu. Coś w duszy się łamie, znikają ziemskie smutki, zostaje tylko najpiękniejsza Ona... i góry... i nic więcej.

Teraz dopiero odczuwamy całą gorącą miłość do tych gór potężnych, co piętrzą się wysoko nad nami, do tego nieokreślonego nastroju, jaki się w ich obecności budzi.

Góry moje, góry nigdy, nigdy w życiu Was nie zapomnę, bo w waszej obecności przeżyłam najwznioślejszą chwilę na ziemi.

Po Was już nic tak mocno nie ukocham...

„Kto raz się wzniosł na szczyty,

„I czołem sięgnął chmur,

„Ten zawsze tęsknić będzie,

„Do niebotycznych gór.

Wacka (IV kurs)

Różańcowe nabożeństwo.

Słońce gasło. Na zachodzie krwawą pożogą gorzało niebo. Nad światem cisza była wielka, cisza gasnącego jesiennego wieczoru, a tam — gdzie ziemia łączy się z niebem, konało słońce. Dusza się rwała do tej dali nieskończonej, do tych ciemnych wieczornych obłoków, do fioletowej barwy dalekich lasów, do mgły wieczornej nad polami... Zakrywane chmurami słońce gasło powoli, jakby z żalem, za czarną wstęgą lasów, za szarą bezzbrzeżnie smutnymi ściemiskami, za obłaniami złotem i purpurą kępami drzew, owianych jesienią... Mrok zapadł rozpościerając się cicho bezzszelestnie. Resztki gasnącej zorzy wychylały się z za gór wąską smugą.

W dali dzwony grały pieśń wieczorną:

„Na Anioł Pański biją dzwony,

Niech będzie Marja pozdrowiona...

Niech będzie Chrystus pozdrowiony”...

I ~~były~~ dzwony... To odbijały się głosem echem od pól, to cichy... Wypełniały smutkiem świat... Pełzely wśród mroków wieczornych...

Mały wiejski kościółek w S. pelen był ludu. Mrok w nim panował, złany z ogromem ciszy i świętości. Z naw płynęły cicho szemrane modlitwy... Ołtarz majestatycznie jaśniał, wśród płomyków świec, a głos księdza brzmiał łagodnie:

„Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą, —

Odpowiadał mu chór stłumionych głosów. Modlił się lud... Płynę-

ły głosy proste, a serdeczne i proszące... Chyliły się kornie głowy ku ziemi; usta pozdrowiały Marię...

Lud spracowany tutaj zostawiał swe troski, swój ból... Tu błagał o życie lepsze, o byt, o chleb... modlił się rzewnie, powtarzając słowa pacierza, kornie pochylony... A od ołtarza głos księdza łagodny płynął cicho, rozlegał się po kątach i framugach, dźwięczał w sercach ludu... Ołtarz jaśniał świecami walcząc z mrokiem stającym cicho wśród świętego ogromnego skupienia. Świece gorzały, mrok nikt, to mocniej szarzał, głos księdza płynął kojący, modlił się lud... Zapominał swe cierpienia, prośbą łkał, bo prosty był, wierzący, bo niezachwiany w swej wierze starej, a silnej i czystej. Nie zimały jej nowe prądy. Dla niego Bóg był potęgą — wszystkim.

— A Bóg słuchał i błogosławił sercom ludzkim, kołł ból i łzy.

Ona (kurs I).

Jesienne liście.

"Na srebrne stawu zwierciadło lecą

I błyszczą złotem — i jak krew świecą".

Z lekkim szelestem padają złote liście jesienne na przezroczystą tęstaw. Promienie zachodzącego słońca oświetlały je, nadając im cudny kolor.

I świeciły liście jesienne niby złoto, i zdawało się, jakgdyby ktoś malował cudne desenie.

I świeciły purpura, jak krew tych, co ją za swą ziemię rodzinną przelali i Ojczyźnie nieśli w ofierze.

Drzewa widziały te walki na śmierć i życie i widziały tę krew, co się u ich stóp przelala i w ziemię wsiąka. A potem wraz z sokami tej matki — ziemi wchłonięły ją w siebie i przekazały liściom, aby nie zginęła.

I teraz jesienią pragną przypomnieć o tych drogich poległych i pragną wzbudzić wspomnienie... Więc liście, krwią bratnią zabarwione, rozrzucają hen daleko po polach i na srebrne stawu zwierciadło.

I płaczą nad nimi cichym szmerem spadających liści...

Hela Plackiewiczówna.

Jesień.

*Smutno... deszcz płacze, listki leżą, leżą.
Niby skrwawione strzępy serc rozdartych,
Padają cicho... chwilę złotem świecą,
Aż wreszcie gasną, naksztali trupów martwych.
Tęskno... sierość, wiatr żale zawodzi,
Ktoś się samotny błaka w mgłę jesiennej.*

*Kapią się lasy w szkarłatnej powodzi,
Nad ziemią wiszą kiry nocy ciemnej,
Żal... zbladłe słońko za chmury się chowa
Na pola ciche, spływa mgła pokutna.
Nad lasem gasnie zorza purpurowa,
Zrywa się w sercu biednym pieśń przesmutna.*

*Czyż nigdy już nie wrócą zachwyty wiosenne,
Śpiewy ptaszek w olszynie, złote słońca strzały?
Czyż serca burzą życia okrutną stroskane
Tak już cierpieć na zawsze i płakaćby miały?
O! nie, bo chociaż teraz tęsknica jesienią,
Choć smutno ~~moja~~ ^{moja} zawodzi, choć się skarżą kwiaty,
Wróci nam wiosna w serca świeża i promienna,
Otworzą się dla niego cudowne nowe światy.
I spłyną nowe pieśni, pełne mocy ducha,
Pieśni zesłane dla nas z nieba błękitnego,
Pierzchną przed niemi: niemoc, ból i rozpacz głucha
I serca wielbić będą Boga Wszechmocnego.*

„Ukrainka”.

Młodości! orla Twych lotów potęgą.

Jasnym, precudnym uśmiechem promienna w tęczowe szaty spowita wysniona... unosi się nad brudną, szarą i nieskończenie smutną ziemią. I niesie jej, tej bezzennie smutnej pociechę i nadzieję, co niby złoty promień słońca ogrzewa i pieści.

To młodość...

Na skrzydłach marzeń nieziemskich, unosi się gdzieś w zaświaty, w jakieś kraje nieznanne, a cudne. Potężnie, z całą siłą ukochania rwie się do słońca, do prawdy, do piękna. I tam, gdzie wszyscy opuścili ręce i z rozpaczą czekają końca, tam ona wzbudza nadzieję i zapal. Ona, niezachwianie wierzy w spełnienie wszystkich swoich pragnień i nie zniechęca się trudnościami, orla potęgą swych lotów wszystkie przeszkody omija, wszystkie zwycięża. Wzniosłością swych celów i dążeń, jaskrawo się odróżnia od szarego pospolitego życia — ziemi.

„Młodości! orla twych lotów potęgą, a jako piorun twe ramie.”

Choć marzysz o takich czynach, w których spełnienie nie wierzy świat cały, to ramie twoje wszystko pokona. Potęgą i siłą woli zawsze doprowadzi do celu...

I zabrzmi okrzyk triumfu, szczęścia i mocy. Zwyciężyła młodość, ocknęła się ze snu szara, martwa ziemia i oddaje cześć w niemem odrętwieniu. Ale nad podziwem świata, góruje błogosławiąca ręka wieszczca, który tę wiarę ukochał nad wszystkie inne i jest dla nich zawsze przewodnią gwiazdą i opiekunem. —

Ell! —

A było to tak.

— Jedzie, jedzie!
 — Gdzie, kto?
 — Mówiel — wołają przerażone głosy
 — Mówie, jedzie już.
 — Ale kto?
 — Bryczka, bryczka. Oj, jak mi serce bije!
 — E, Stacha, żeby licha wzięło twoje serce.
 — No, daj mi spokój — odcina się Stacha z irytacją — niby to nie wiesz, o co idzie. Bryczka ta sama co zawsze po wizytatora...
 Tu następuje choralne „Ach” i cała gromadka tłoczy się już przy oknie. A bryczka jedzie, jedzie powoli, bo droga zła.
 Regina powiększa grozę sytuacji filozoficzno ponurem zdaniem.
 — Zbliża się nieubłagane, jak przeznaczenie. Spojrzałam na nią złem okiem. I tak każdy się boi, a ta jeszcze...
 Wszystkie oczy skierowane na drogę, wszystkie serca biją niespokojnym pytaniem:
 — On, czy jeszcze nie „On”?
 Wreszcie bryczka zbliża się. Tak, istotnie „On”
 On wita nas uprzejmie, ale nikt nie pamięta, że należy oddać ukłon. Wszystkie odskakują od okna, jak na komendę (Alina spada). Zaczyna się zamęt i lament.
 „O, Boże!” „Oj, co to będzie?” Przepadłam, przepadłam, żeby choć jeszcze dzień...” „Nie zdążyłam dydaktyki powtórzyć!” „Ja Komeńskiego” Któraś szepce „Pod Twoją obronę”. Któraś płacze.
 — Daj pokój — uspokajają inną — po co płakać à conto.
 Podwieczorek przechodzi w penurym nastroju.
 Nad stołem zawisła chmura. Zaledwie ktoś bąknie słówko od czasu do czasu. Ostatecznie zgadzamy się na jedno, że lepiej umrzeć, niż nie zdać.
 — Żeby to można wybierać — mówi Regina — ale kto się ma obciąć, to i tak się obetnie, a potem i tak umrze.
 Nazajutrz dowiadujemy się, że nasze wypracowania „nieźle.”
 — To ten wizytator taki kochany!
 — Ależ to najzaczepniejszy człowiek pod słońcem!
 — Ja zawsze mówiłam, że on jest mądry bardzo.
 — To mało mądry, to genjusz! Odrazu się poznał na mojem wypracowaniu.
 — No, toby znów o genjuszu nie świadczyło...
 — Taaak, oczywiście, żeby to o tobie powiedział...
 — Nie kłóćcie się, aniołki. Wizytator jest szczytem dobroci, sprawiedliwości, mądrości, no... wogóle wszystkiego.
 — Właśc, na przykład lenistwa...
 — E, głupia jesteś, wszystkich cnót chciałam — powiedzieć.
 Ogarnia nas wielka wesołość. „Bawmy się” ktoś proponuje.
 — W co?
 — W ślepa babkę.
 — Dobrze, dobrze, dobrze!
 — Na szczęście z klasy powynoszono ławki, więc miejsca dość.
 Momentalnie wszystkie bućki zrzucone z nóg, jakiś ręcznik sprowadzony z umywalni, jakaś ofiara wybrana i już jej zawięzują oczy.

Bawiłyśmy się świetnie, żadne pióro nie opisze. Zdaje mi się, że nigdy w życiu nie bawiłam się tak dobrze.
 Wtem jedna potknęła się w ucieczce i jak długa upadła na podłogę.
 Tknęło mnie złe przecucie, ale nic nie mówiłam.
 Wreszcie nadchodzi egzamin ustny. Wreszcie nadchodzi i moja kolej.
 Już Mitka weszła do sali. Ja mam za nią.
 Naraz przychodzi mi na myśl pytanie, kiedy się Archimedes urodził?
 Pytam, kogo spotkam. Nikt nie pamięta.
 Przepadło — wołają mnie!
 Wchodzę i widzę wszystkich jak przez wodę.
 — O, Jezu, kiedy ten Archimedes...
 — Co wiesz o promieniach radu? — Oprzytomniałam i zaczęłam trać kotać jak nakrecona.
 No i jakoś poszło. O narodziny Archimedeśa wcale nie spytali.
 Chciałam wprawdzie odmówić elektronom jakiejś ich własności, ale to był drobniag i elektrony nie obraziły się.
 Czulałam, że było „nieźle.”
 Koleżanki wszystkie zdały bardzo dobrze. Tylko jedna, ta właśnie, co się wysypała przy ślepej babce...
 Stał moral: „Uważajcie przy tej zabawie przed maturą.”
 To więc było tak.

Wzdychająca Poezja.

NASZA ANKIETA.

Aby piśmko nasze służyło nam nie tylko dla rozrywki, ale by było pożyteczne, Redakcja zaprasza wszystkie bez wyjątku koleżanki do wzięcia udziału w ankiecie:

1. Co w mem życiu zrobiło na mnie największe wrażenie i w jakim kierunku zmieniło mój sposób widzenia
 (Mogła to być książka, lub osoba, lub rozmowa, lub jakiś wypadek).
2. Jak sobie przedstawiam siebie w przyszłości czyli ideał, do którego dążę.
 Odpowiedzi mogą być bezimiennie, w druku oddzielane będą tylko liczbą porządkową. Tytuł książki, która zrobiła przełom w życiu, ma być wedle możliwości podany; pożądane jest określenie wieku lat, gdy taki przełom nastąpił, Redakcja zastrzega całkowitą dyskrecję osób.

Kronika.

Władze szkolne przedłużyły nam w tym roku wakacje wskutek panującej w kraju szkarlatyny. Początek roku naznaczony był na dzień 15 września, ale już 14-go wiele uczennic przyjechało, pewno zajął je od historii i od fizyki. Naradzamy się poważnie, jak je będziemy nazywać. Na razie jedną nazwałam „Zieloną panią,” bo chodzi w zielonym swetrze, o drugiej na poprawkowe, robienie porządków, ukła-

pomyślimy później. Powoli wciągamy się w regulamin szkolny, ale po długich waczkach idzie to opornie.

19—IX. Wieczorem płaczliwe procesje ciągną za p. Wychowawczynią, która nas opuszcza i wyjeżdża do Radomia. Szczególniej „Sympatje” mają podpuchłe oczy. Obiecujemy często pisywać do Radomia.

22—IX. „Wygwizdów” istnieje nadal nie zmienił się nic. Wczoraj wygwizdowianki (mieszkanki czwartego pięterka) złożyły się po 10 gr. i postanowiły urządzić sobie bibliotekę. Ponieważ czas mamy zapelniony lekcjami, więc projektowana uczta wypadła wygwizdowiankom po pacierzu wieczornym. Nasza nowa Wychowawczyni obeszła wszystkie sypialnie i znalazła się w swym pokoju. Wtedy wygwizdowianki pokładły się do łóżek, ponalewały sobie gorącej herbaty i zaczęła się uczta. Humory były wysmienite, anegdółki, dowcipy sypały się bez końca. Ale troszkę było za głośno. Nie uważała na to jednak żadna. Wtem Laurka zobaczyła w szybie drzwi cień i lekkie poruszenie klamki. Uciszyło się nagle, a Laurka sennym głosem (trzymając czajnik w ręku) mówi:

Oj, kto tam? Kto się tu kręci? Cicho bądźcie, bo już śpię. — Drzwi się otworzyły i weszła p. Wychowawczyni. Jak która mogła, tak chowała pod koldrę kubek z herbatą, wylewając jej tam połowę. Następuje niejasne tłumaczenie się jednej, podczas gdy inne cichutko leżą w swych mokrych łóżkach z kubkami resztek herbaty, kryjąc twarze w poduszki, aby zdusić porywy śmiechu.

— Na zakończenie p. Wychowawczyni, bez wielkiego gniewu powiedziała: — No,

dobrze moje dziewczynki, skończcie to, ale żeby to było ostatni raz —

Organizatorka „balu” zrobiła uroczyste przyrzeczenie, dokończyłyśmy przerwana ucztę i Wygwizdów naprawdę zasnął.

3—X. Niedziela, zwykła niedziela w Marjówce. Szaro, mokro, deszczyk kapuśniaczek. Wieczorem ogólne zebranie grup samokształcenia. Referat miał ks. Kanonik o potrzebie pracy i dokładności. Dyskusja była na temat samopomocy koleżeńskej; postanowiono, aby na każdym kursie zdolniejsze uczennice w pewnych krytycznych momentach pomagały w nauce potrzebującym. Ma to być okazją do czynienia dobrze innym, oraz szlachetna ambicja, aby na żadnym kursie żadna nie została na drugi rok.

5—X. Jeden z instruktorów szkoły współdzielczej, z Przysuchy miał referat o tem, jak należy prowadzić księgi buchalleryjne w sklepiku szkolnym. Obecne były kursy starsze.

20—X. Imieniny dwóch pań nauczycielek: od polskiego i fizyki. Pierwszej zrobiłyśmy makatę pod łóżko, drugiej serwetkę na szafkę. Na kursie IV, gdy panna Irena B. przyszła na lekcję, Wacław E. wyszła na środek klasy i złożyła życzenia:

„Kochana Pani! Pani najmłodsze dzieci już są na IV kursie i niedługo doprowadzisz je do matury, ale one dla Ciebie zawsze zostaną najmłodszymi dziećmi. Kochaj je tak mocno, jak one kochają swoją „Mamusie.”

Nastroj w klasie uroczysty i miły. Wszystkie kursy obydwoim solenizantom składały życzenia. Wieczorem tańce. Dobijałyśmy się o zaszczyt tańca z p. Ireną R. Za trzy dni Imieniny p. Janiny.

TECZKA DO LISTÓW

Chcemy zawiązać korespondencję z koleżankami pozamiejscowymi. Pisujcie do naszego „Brzasku.” Obrazki z życia nauczycielskiego chętnie będziemy umieszczać.

Ten dział przeznaczony jest na odpowiedzi Redakcji. Którakolwiek z koleżanek chce się o coś zapytać, tu znajdzie odpowiedź.

Onej. z l k. W wierszu znać natchnienie. Nie umieściłyśmy z braku treści wyraźnej, ale chętnie drukować będziemy głębiej pomyślane. Talent można wyrobić.

M. M. Jeżeli chcesz wiedzieć, jak pisać dziennik, przeczytaj piękną książkę pod tyt. „Na ostatniej placówce” Dorożyńskiej.

PRENUMERATA ROCZNA 2ł. z PRZESYŁKĄ 2,50.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. PRZYSUCHA.

Druk szkoły rzemiosł w Marjówce.